NUMER 32. DNIA 10-go SIERPNIA 1902 ROKU ROK X.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA



JÓZEF JEDLICZ.

Pójdę na ciche pola...

Pójdę na ciche pola, na kwitnące sady,
Gdzie grają w śnie południa złote hymny pszczelne,
Gdzie źródła młodych marzeń biją nieśmiertelne
I moich snów dziecięcych czuwa anioł blady...

Pójdę na białe, słońcem roześmiane chaty,
Gdzie śnią urokiem ziela wybujałe grzędy,
Gdzie święte, tajemnicze kwitnienia obrzędy
Mąci szałem radości ptactwa huf skrzydlaty.

Tam, w cienistej zaciszy, patrząc w bujne plony,
Z dziadem o siwych włosach, które wiatr mu pieści,
Siądę — śnieżną rozkoszą kwiecia upojony —

I będę słuchał jego długich opowieści;
W duszy mej barwną rzeszą zjawią się ogromne
Wizje dawnych czasów... I może zapomnę...

Franciszek Jaworski.

ZŁOTA RÓŻA.

(Podanie żydów lwowskich.)

Zakryta ruderą murów i odrapanych domów ulicy Blacharskiej i Za Zbrojownią, wśród brudnych zaułków żydowskich stoi mała synagoga, zwana *Turesahaw*, albo częściej jeszcze bożnicą „Złotej Róży“. Aby ją zobaczyć, przejść trzeba bramę domu przy ul. Blacharskiej l. 27, zaglądnąć na podwórze i doznać rozczarowania na widok niepozornej, okolonej żelazną kratą oficyny z przedsionkiem, która wcale nie zdradza zewnętrznym wyglądem ani starożytnego pochodzenia, ani pięknej swej wewnętrznej architektury.

I rzeczywiście dopiero we wnętrzu ogarnia artystę lub architekta zdumienie, gdy patrzy na krzyżowe gotyckie sklepienie bożnicy, skombinowane z późno renesansowymi szczegółami i oryginalnym rodzajem kamiennego ołtarza, w formie portalu. Tak jakoś ten ciekawy, a jeden z nielicznych już zabytków starego budownictwa lwowskiego, nie zgadza się ze swojem otoczeniem, że mimowoli nawet sprawia wrażenie perły, ukrytej w... śmietniku.

A wrażenie to potęguje się jeszcze na wieść, że na tym oto śmietniku wyrósł, do murów owych przylgnął myt wschodnią fantazją rozigrany i baśń żydowska o „Złotej Róży“, co najpiękniejszą niewiastą miała być w lwowskim Izraelu, a życie swoje i młodość poświęciła w obronie tej właśnie synagogi, gdy ją chrześcijanie zburzyć pragnęli. Myt ten, a właściwie tajemnicza, wschodniej poezji pełna legenda, przeszła całe

pokolenia żydowskie i dziś jeszcze żyje w zaułkach *ghetta* lwowskiego, gdzie „*Reuse, die goldene*“ jest ciągle szczytem bohaterstwa i poświęcenia.

Baśń — ot jak każda legenda, zawsze połowę prawdy w sobie zawiera, w tym wypadku nawet nie zbyt odległa przeszłość w myt się już skrystalizowała. Samo bowiem podanie o „Złotej Róży“ jest fantastyczną kombinacją dwu zdarzeń, przedzielonych okresem czasu stuletnim, jest czynem dwu żydówek, Róży, żony Nachmana i drugiej Adel z Drohobycza, która się miała poświęcić za swoich współwyznawców. Obie spoczywają na starem okopisku żydowskiem we Lwowie, o czem świadczą utrzymane po dziś dzień kamienie grobowe, z odpowiednimi, a bardzo charakterystycznymi napisami hebrajskimi.

Ale i sama rzeczywistość z Turesahaw-synagogą złączona tak jest burzliwa i fantastyczna, że wydaje się raczej wytworem wyobraźni, aniżeli historją. Wobec tego zaś zrozumiałą jest rzeczą, iż na takim gruncie historycznym wybujać mógł myt fantastyczny.

Żył mianowicie we Lwowie w drugiej połowie szesnastego i na początku siedmnastego wieku potężny ród żydowski Nachmanidów. Protoplasta jego Nachman, jak niemniej potomstwo jego sprawowało dziedzicznie seniorat nad lwowską „nacją żydowską“, mieszkającą w obrębie murów miejskich. Ponadto nosili Nachmanidzi między swymi współwyznawcami tytuł „książąt świętego kraju“, który to tytuł oznaczał osobę w najwyższym stopniu zaufaną, na której ręce płynęły od wszystkich żydów polskich składki pieniężne na wspólne cele w Palestynie. „Książe świętego kraju“ wysyłał te pieniądze na miejsce przeznaczenia, a nadto miał staranie, aby pobór tego narodowego podatku odbywał się regularnie.

W ten sposób Lwów stał się niejako metropolją całego żydowstwa polskiego, a jak są przesadzone wszystkie wieści o prześladowaniu żydów specjalnie we Lwowie, świadczy, choćby nazwa miasta naszego, które w ustach wszystkich żydów z całego świata nazywało się „miastem pięknością ozdobionem, matką Izraela, miastem pełnem mędrców i uczonych w piśmie“.

Otóż syn owego Nachmana, Izak Nachmanowicz wspólnie z żoną swoją Chwalką, nabyli w r. 1576 od miasta kawał gruntu w miejscu, gdzie „ulica żydowska schodzi się z ulicą ruską, niedaleko bramy ruskiej“. Na tym to placu wybudował Izak wspólnie ze synami swymi Nachmanem i Mordechajem synagogę, którą wykończył w r. 1582 budowniczy lwowski, Włoch z pochodzenia, Paweł Szczęśliwy, jak to sąm później poświadczył przed urzędem radzieckim: „Jam budował tę nową szkołę i wszystko, co na tym placu jest pomurował — najpierw budowałem bóżnicę, potem Marków dom...“ i t. d.

Fundacja ta, jak nie mniej stanowisko rodu Nachmanidów, stawiło synów Izaka Nachmanowicza, wspomnianych już wyżej Nachmana i Mordechaja, bardzo wysoko. Obaj byli naczelnikami żydowstwa lwowskiego, pierwszy jako ich reprezentant wobec świata chrześcijańskiego, drugi jako uczony w piśmie i talmudysta.

Nachman był człowiekiem sprytnym i obrotnym, a żona jego Róża, kobietą niezwykłej piękności i dowcipu. W interesie żydowstwa prowadzili oni dom otwarty, w którym bywali, naturalnie w największym sekrecie, nawet dygnitarze chrześcijańscy. Jaką oni tam przyjemność znajdowali, zwłaszcza wobec powszechnej pogardy, którą wówczas otaczano żydów, niewiadomo, być jednak może, że piękna Róża, jak niegdyś grecka Aspazja, czar taki w koło siebie roztaczała. Stwierdza bowiem ponad wszelką wątpliwość tego rodzaju znawca dziejów żydowskich co dr. Jecheskel Caro, że nawet najwięksi magnaci nie wahali się bywać w domu pięknej żydówki, a co najosobliwsza, wpływ jej rozciągać się miał nietylko na sfery świeckie.

Tymczasem na początku siedmnastego wieku zawitali do Lwowa Jezuici, z zamiarem założenia tu swojego kolegjum i kościoła. Wiadomo z jaką zawiścią patrzyła na intruzów lwowska Katedra, obawiająca się o los swojej szkoły, ale sprytni ojcowie wzięli się do dzieła tak energicznie, że wszystkie przeszkody niebawem pokonać potrafili. Pod wpływem zapewne duchowieństwa katedralnego, urząd radziecki chcąc Jezuitom utrudnić pobyt w mieście postawił im warunek, że nie mają się gdzie indziej starać o miejsce *ecclesiae et collegii*, tylko między żydy“. Ojcowie zgodzili się na ten warunek, a komisja królewska, która nieba-

wem zjechała do Lwowa, oddała Jezuitom na własność plac na którym dopiero co stanęła synagoga i domy: Izaka Ziskintowicza, Józefa Salomona i Nachmana, a to na podstawie rozumowania prawnego, że place te były własnością królewską, bezprawnie żydom sprzedaną (*areas e publico iure civitatis ad privatos olim male alienatas*).

Można sobie wyobrazić, jaki krzyk podnieśli żydzi, na wiadomość o tym dekrecie. Poruszyło się wszystko, jakby kto kij włożył w mrowisko; w gminie żydowskiej zapanowała żałoba, nakazano posty, publiczne modły i lamenty, a równocześnie wniesiono uroczysty protest przed komisję królewską i żałobę na sejmik szlachecki w Sądowej Wiszni. Nachman i żona jego Róża wszystkich swych pokątnych wpływów i protekcji użyli, aby tylko odwrócić grożące niebezpieczeństwo.

Niewiadomo czy wpływ Róży to sprawił, czy też słuszność sprawy żydowskiej, dość że na sejmiku w Sądowej Wiszni ośmnastu mowców szlacheckich przemawiało za żydami, a dwu tylko, to jest Jan Zamojski i hetman polny Stanisław Żółkiewski patronowało Jezuitów. Ale Jezuici mieli już wówczas potężny wpływ na dworze królewskim, tak że w r. 1604 zapadł wyrok sądu królewskiego, oddający im na własność owe place i budynki. Wśród powszechnego lamentu więc oddali żydzi klucze od synagogi, ale mimo to nie dali jeszcze za wygraną. Spór toczył się przez następnych lat 5, aż ostatecznie dzięki protekcjom Róży Nachmanowej przyszło do ugody, której pośrednikiem był sam arcybiskup Zamojski. Żydzi zobowiązali się dać 200.000 złp. Jezuitom na zakupno innych placów, ale i tej ugody nie dotrzymali, tak że ostatecznie Jezuici musieli się zadowolnić kwotą 4000 czerwonych złotych, z których nadto magistrat potrącił 3000 zł. dla siebie w zamian za plac, który im ofiarował, na miejscu gdzie dziś kościół Jezuitów. Dało to kronikarzowi jezuickiemu powód do zgryźliwej uwagi: „wiele żydzi obiecali, mało dotrzymali, dobrze naszych w pole wywiedli — alleluja!"

Na dwa dni przed świętem *Purimu* w r. 1609 żydzi w sposób uroczysty intromitowali się do odzyskanej synagogi. Na uroczystość ową napisał uczony w piśmie, a nawet w świeckich naukach rabbi Izak Ben Samuel Halevi hymn radosny, który dwie współczesne powagi talmudyczne Jozua Falk i Majer z Lublina wcielili, jako część składową liturgji na sabath przypadający po Purimie, która to liturgja do dziś bywa odprawiana.

A całą zasługę w odzyskaniu świątyni przypisali żydzi wpływom Róży Nachmanowej. Nazwano ją „złotą Różą", a gdy w r. 1643 umarła, położono na jej grobie kamień z następującym hebrajskim napisem, który się do dnia dzisiejszego dochował:

„Tu spoczywa wielce szanowana, bogata pani Róża, córka rabina pana Jakóba. Zmarła we wtorek czwartego Schwat 5395 kalend. żyd.

„Nad nią płaczemy i mnożą się skargi a żale — straciliśmy cię nasza korono — stracona nasza pociecha i został złamany nasz świecznik.

„Takiej kobiety nie znajdzie więcej — królowie i książęta klękali przed nią.

„Niech dusza jej odpoczywa w spokoju".

Niebawem czyn jej i można protekcja zmieniła się w baśń o śmierci bohaterskiej i szła coraz fantastyczniejsza z pokolenia w pokolenie, tem bardziej, gdy podstawę jej dało następujące zdarzenie, zaszłe w sto lat później:

Według wiadomości zaczerpniętej przez dra Jecheskela Caro z jakiegoś źródła żydowskiego, miał się we Lwowie w r. 1710 zdarzyć wypadek podejrzenia żydów o mord rytualny. Jakaś chrześcijanka przynieść miała na ratusz swe martwe dziecię z oskarżeniem, że zamordowali je żydzi dla swoich celów rytualnych. Magistrat pociągnął za to do odpowiedzialności całą gminę żydowską, a wtedy wystąpiła żydówka, niejaka Adel z Drohobycza i mimo niewinności swojej, chcąc uratować współwyznawców, przyjęła całą winę na siebie i skazana została na śmierć. Ile w tem doniesieniu źródła żydowskiego jest prawdy, niewiadomo, ale dr. Caro przytacza następujący, do dziś na okopisku żydowskiem zachowany nagrobek, który w tłumaczeniu polskiem tak opiewa:

„W piątek 27 Elul 5470 kalend. żyd. zmarła święta, niewinna i bogata pani Adel, córka przełożonego pana Mosche Kikenisa.

„Poświęciła i ofiarowała duszę swoją za lud żydowski. Niech Bóg pomści jej krew i dusza jej niech spoczywa spokojnie w niebiesiech“.

Otóż w pamięci żydów lwowskich „Złota Róża“ pomieszała się z córką Mojżesza Kikenisa i stąd urósł myt o męczeńskiej śmierci Róży, w obronie synagogi Turesahaw.

EMMA JELEŃSKA

4)

Z MIŁOŚCI.

Teraz jednak, słuchając, czuła się przedewszystkiem dumną, że taki człowiek, taki rozumny, szlachetny, poważny człowiek jest jej mężem — jej własnym, drogim, ukochanym mężem. I patrząc na niego, czuła, że dusza jej mdleje z miłości, że obwija się koło jego duszy tak samo, jak jej ramiona obwijały się koło jego szyji w tych boskich chwilach upojenia i rozkoszy. I dreszczem szczęścia przejmowało ją wspomnienie tej mądrej, męzkiej głowy, tulącej się do jej piersi tak, jak małe dziecko tuli się do matki, szukając pieszczot, słodyczy i ukojenia.

A on mówił: — „Nie, Rucz, przesadzasz! Źle jego sądzisz. On tego nie robi dla karjery, ale z przekonania“.

— Z przekonania! Pochlebia, podlizuje się — wiesza się przy...

— Jemu się wydaje...

— I jeszcze w nas wmawia, że tak wszyscy powinni robić — że to polityka — że w tem tkwi cel wyższy!

On szczerze tak myśli. I cóż dziwnego! przypomnij sobie — gdzie on się wychował — w jakiem przebywał dotąd otoczeniu. Przecie tam wszyscy tak myślą.

— Ja tam tego nie wiem. Ale to jedno wiem, że do naszej sprawy trzeba czystych rąk. A on...

On myli się — to prawda. Ale zeń uczciwy człowiek! A to, co mówisz o czystych rękach, to jest prawda, ale nie można w tem iść za daleko — i odrzucać tych, co się do nas garną i mogą z czasem stać się pożytecznymi.

Rucz zerwał się z krzesła i zaczął biegać po pokoju. „Nie, nie mogę słuchać, jak ty takie rzeczy mówisz. Nazywasz uczciwością jego podłe, obrzydliwe tchórzostwo — i przez takich jak on chcesz coś robić“.

— Uważam, że należy z każdego wyciągnąć, co się da. A wiesz dobrze, iż jego poglądów nie podzielam — i nigdy podzielać nie będę.

— Karolu! — Rucz stanął przed przyjacielem i patrzał mu w oczy. — Doprawdy czasem zaczynam o tobie wątpić.

— Obraź się — pomyślała Wanda — pokłócą się może naprawdę.

Ale Karol uśmiechnął się spokojnie.

Dajże pokój — rzekł — nie bądź dramatyczny. Przesadzasz i to mówiąc. Ot, lepiej siądź i pij herbatę.

I Rucz usiadł i zaczął mieszać łyżeczką w filiżance. Chwilę trwało milczenie.

— Pan nic nie je — wyjąkała Wanda, podsuwając mu talerz.

Nagle Rucz zaczął się śmiać.

— A prawda! zapomniałem, że jestem strasznie głodny,

— Dlatego też jesteś taki skrajny w sądach — rzekł Karol — Zjedz, zaraz ci ulży.

Zaśmiali się wszyscy, i Rucz z wielkim apetytem zaczął zajadać. Rozmowa się zmieniła. Rucz spytał o wrażenia z podróży. Tym razem zwrócił się wprost do Wandy, i ona musiała odpowiadać i mówić. Pierwszy raz w życiu była zagranicą, pierwszy raz widziała prawdziwe góry, morze i piękności sztuki — więc zachwyt jej był bez granic, i oczy jej pałały, gdy wspominała o śniegach i lodowcach Szwajcarji, o zielonym Adrjatyku, o pałacach Weneckich, a przedewszystkiem o cudnych Tycjanach i Weronezach. Rucz dużo jeździł i dużo widział — był przyjemnym

towarzyszem gawędy. Wieczór schodził mile. Pod koniec jednak panowie powrócili znowu do poważniejszych kwestji. Chodziło o pewną jubileuszową uroczystość, którą urządzał Kraków. Jakże X. miało wziąć w niej udział? Świecić nieobecnością? Niepodobna. Więc czy wysłać delegację? czy adres — czy dar jaki? I w jakiej formie? I od kogo? Sprawa ta była już parokrotnie roztrząsana, ale zdania tak się rozstrzelały, że jeszcze nic nie postanowiono. Pewna partja groziła secesją i zrobieniem na własną rękę.

— Lepiej z czegoś tam im ustąpić, a nie psuć solidarności — mówił Karol.

— Ale zgodzić się na ich pomysł też niepodobna — odparł Rucz — skompromitowalibyśmy się.

— Czekajmy... I oni ze swego cokolwiek ustąpią. To się jeszcze ułoży. Bylebyśmy się nie gorączkowali.

— Jakiego pani ma nieznośnego męża! — zawołał Rucz, zwracając się znowu do Wandy. — Jabym z nim nie wytrzymał! Czekaj i czekaj! Życie zejdzie na czekaniu. Nie wiem, jak pani z nim wytrzymać może.

Ona się zaczerwieniła i uśmiechnęła.

— Oto mi przyjaciel! — zażartował Karol, — już mi żonę demoralizować zaczyna!

— Naturalnie — zwykła przysługa przyjaciół.

„Jednak to dziwne — on ze mną nigdy tak nie rozmawia — myślała Wanda, rozczesując na noc długie swe włosy. Dlaczego? Wszakże jestem w stanie to wszystko zrozumieć. Wszak mnie to tyleż obchodzi, co Rucza. Zawsze — gdy spytam o co, zbywa mię półsłówkami. — Dlaczego? dlaczego?“ Coś zimnego wpełzło do jej duszy — poczuła jakby chłodny powiew — i wstrząsnęła się, „Nie, to tylko brak przyzwyczajenia. On się jeszcze ze mną nie zżył — on jeszcze tego nie pojmuje, że jestem jego, tak zupełnie, bez miary jego. Trzeba mu to ciągle okazywać, trzeba go przekonać, trzeba mu całkowiciej jeszcze oddać się — nietylko ciałem, ale duszą, duszą przedewszystkiem. Biorąc moją duszę, z konieczności swoją mi też oddać musi — i wtedy połączymy się w jedno. Wtedy?... — kiedy? — A teraz? Więc teraz jeszcześmy nie połączeni? A ja myślałam“...

Przeszła do swego buduaru i oparła głowę o zimną szybę okna. Na dworze migotały gdzieniegdzie latarnie. Poza czarnem pasmem drzew, w głębi, płynęła rzeka: prawie jej widać nie było — coś tylko czasem zabłysło w ciemnościach, i czuć było, że idzie i idzie — wciąż idzie w nieskończoność, w bezmiar.

„A ja myślałam... myślałam, żeśmy połączeni i duszą...“ I widziała Wanda szereg chwil wielkich, pięknych, które przeżyła — chwil wytycznych na drodze ich miłości. Pierwszą ich rozmowę znaczącą: — „Więc pan uważa miłość za zbytek na nasze ciężkie czasy?“ — „Nie, pani. Jeśli jest ona poważna, prawdziwa, i wyrozumiała — to nie zbytek, ale skarb“. — O, taka miłość — prawdziwa — to rzadki kwiat, i nie na lada gruncie rozkwita“. — „To też nie spotkałem jej dotąd niestety!“ — „Tak, pani, niestety — bo jej pragnę“. I jego spojrzenie wtedy! Boże! to spojrzenie!

A potem, gdy niespodziewanie przyjechał do Malinowicz! Weszła do salonu, nic nie przeczuwając — i nagle zobaczyła go. On wstał, uścisnął jej rękę, i spytał półgłosem: „Panią to dziwi, żem przyjechał? Wszakże inaczej być nie mogło...“ I ten raj, ta anielskość, co w nią wówczas wstąpiła!

I nazajutrz wieczorem, spacer konny z miss Rate i z chłopcami. Pozostali trochę w tyle — i milczeli długo. Konie szły zwolna, opędzając się z muszek i komarów. Słońce chowało się za czarną olszynę, i tylko z pomiędzy gałęzi wypuszczało czerwone i złote strzały — a na niebo wybiegały jedne po drugiej różowe chmurki. Wtem, on się ku niej pochylił i rzekł: „Czy mię chcesz?“ A jej głos zamarł, i nie odrzekła nic, tylko podała mu rękę. I jechali tak długo w milczeniu, w ciszy, w zapadającym zmroku, trzymając się za ręce... O, chybaż wtedy łączyły się ich dusze!

A późniejsze, tak liczne chwile ich szczęścia! Ich powrót z kościoła, gdy w zamkniętej karecie, on ją wziął w objęcie i powtarzał: „Przysięgam ci, przysięgam...“ Ich przechadzki samotne nad jeziorami szwajcarskiemi, ich wycieczki ku niebotycznym szczytom — ich weneckie księżycowe noce, w kołyszącym ruchu gondoli, nabrzmiałe śpiewem, blaskami i poezją — ich wieczorne sam na sam w półcieniu sypialni — ich miłosne noce, długie, rozkoszne, szalone — ich przebudzenia do szczęścia, do nowej miłości... wczoraj jeszcze...

A jednak — on miał swój świat, swój własny, odrębny od niej świat, od którego szedł na nią chłodny dech. Bo połączenie ich nie było dotąd połączeniem dusz. Nie, nie było! Jeszcze się nie przeniknęli, nie zajrzeli sobie do głębi, do dna — nie weszli w te swoje kastele obronne, na górnych skałach postawione — zamknięte dla ludzi. Nie otworzyli drzwi do swoich cichych komnat, gdzie skarby swe mieli nagromadzone. I każde z nich swoją trzymało jeszcze zamkniętą.

Ale nie! tak zawsze nie będzie. Ona mu pierwsza da klucz do swego skarbca, otworzy mu dumny kastel swej duszy, wprowadzi go do swego świata. Ona przed nim rozrzuci perły swe i djamenty, ona go zasypie klejnotami i złotem. Jednej myśli, jednego uczucia przed nim nie zataji. A wtedy, on również roztworzy przed nią szeroko serce swe i duszę — i nietylko kochać ją będzie, jak mężczyzna kocha kobietę — ale tak, jak człowiek miłuje przyjaciela, brata. „Dziś jeszcze, zaraz — powinnam się zbliżyć do niego, pomówić z nim — nie zmysły jego, ale dusze ku sobie pociągnąć. Dziś zaraz“ powtórzyła, odwracając się od okna.

Przez przymknięte drzwi do sypialnego pokoju padała na posadzkę linja światła. Zresztą, w całem mieszkaniu było już ciemno. „Już się musiał położyć“ pomyślała. I weszła. — „Karolu...“ zaczęła. Ale urwała. On spał: na nocnym stoliku paliła się lampa, leżała książka. W ręku trzymał jeszcze gazetę. Ale głowa zsunęła mu się nisko na poduszki — i spał, głośno oddychając.

Znowu zimne tchnienie ją owiało. Znowu zimnego coś wpełzło do jej duszy. I wielkie łzy, gorące i ciężkie, zaczęły spływać po jej twarzy.

A on spał.

IV.

— Masz wolną chwilę? To chodź tu, usiądź, bądźmy razem — mówiła Wanda, ciągnąc męża za rękę, i sadzając przy sobie na niskiej sofce w saloniku.

Była to niedziela i szara godzina zapadała. Na dworze był mróz, i gwiazdy jedna po drugiej zapalały się na niebie. Drzewa, pokryte szronem, wiły się białą girlandą wzdłuż rzeki, zamarzłej już i spokojnej. Po mieszkaniu błądziły cienie, kąty zginęły już całkiem w mroku, a tylko nawprost okien rozkładały się jaśniejsze szmaty dnia i czepiały się przedmiotów. Wielka palma stojąca pośrodku przybierała dziwaczne kształty, wyrzucała swe gałęzie na tle okna, i roztapiała je w cieniu.

— Zmęczyłeś się tą wczorajszą sprawą — zaczęła Wanda, obejmując męża. — Dziś nic już robić niewolno — będą wakacje, prawda? I cały wieczór spędzimy razem.

— Nie, nie! Wcale nie jestem zmęczony. Cóż tam ważnego? Sprawa jak każda inna...

— Ale każda męczy — nerwuje...

— Dajże pokój! Nie wmawiaj mi nerwów. Nie jestem przecie kobietą. To tylko wy takie rzeczy bierzecie do serca.

Wanda się poruszyła.

— Tak mówisz, jak gdyby każda kobieta była roznerwowana. A ja naprzykład, wcale nie mam nerwów.

— Choćbyś i miała, to masz do tego większe prawo odemnie.

— O! dlaczego?

Karol zaśmiał się. — „Bo panie możecie sobie na to pozwolić niekiedy. A my nie“.

Umilkli. Wanda myślała: „On kobiety traktuje jak dzieci — lekceważy je wprost“. I głośno rzekła: — „Wiesz jednak, Karolu — ja to oddawna uważam — ty się odzywasz o kobietach jakby o dzieciach — jakby to były wszystkie jakieś niedowarzone, głupie stworzenia... Przyznam się, że to nie bardzo przyjemnie...“

On zaśmiał się znowu. „Ale bynajmniej! Ja je wszystkie lubię, szanuję, poważam“.

— Ty je po prostu lekceważysz. Dla ciebie, kobieta — to nic. Ja nawet...

— Jakto? i ty nawet? — Karol ujął żonę za brodę i zbliżył jej twarz do swojej. Śmiał się. — I ty nawet? To dla mnie nic?

(C. d. n.)

Powieść o Karolu XII.

Literatura szwedzka nie ma takiego powodzenia w Europie, jak pokrewna jej literatura duńsko-norwezka. Śród pisarzy szwedzkich dziś zaledwie jeden August Strindberg uzyskał rozgłos po za granicami swego kraju — i to głównie dlatego właśnie, że pokłócony ze swoją ojczyzną — zaczął pisać po niemiecku, a potem po francusku. A jednak Szwecja ma dziś kilku autorów, godnych niewątpliwie bliższej znajomości, a przedewszystkiem zasługuje na uwagę wybitny i niepospolity poeta, Verner von Heidenstam, o którym zamierzamy parę słów tu powiedzieć, z powodu jego ostatniej powieści p. t.: „Carolinerna“, to jest Karolinowie, rycerze Karola XII. Rzecz ta może nas tembardziej zainteresować, że akcja częściowo odbywa się w Polsce.

Verner von Heidenstam, urodzony 1859 r. w Olshammar, na północy Szwecji, pochodzi ze starej rodziny, która wsławiła imię swoje zarówno w piśmiennictwie, jak i w dyplomacji. Członkowie tej rodziny chętnie opuszczali lodowatą północ dla fantastycznych krain Wschodu; część familji Heidenstam osiadła na Cyprze. I młody Verner — jako dziecko słabego zdrowia przebywał więcej na Południu, niż w kraju. Włochy, Grecja, Egipt, Palestyna — dały mu pierwsze i najsilniejsze wrażenia, które też na całe życie wryły mu się w duszę — tak, że do ostatka przechował on piętno pewnego egzotyzmu duchowego, który niemniej i w dziedzinie literackiej stanowi główną jego cechę.

Jego działalność piśmiennicza zaczyna się koło roku 1880; było to w czasie dogorywania naturalizmu, kiedy młodzież szwedzka szukała nowej formuły artystycznej. Rozmiłowany w pięknie bezwzględnem, daleki od codziennych spraw życiowych, obdarzony fantazją niepospolitą i potężnie władający orężem mowy narodowej — Verner von Heidenstam stanął na czele ruchu młodej Szwecji — i jako hasło ogłosił „Renässans“. Właściwie było to powiązanie starego romantyzmu gotyckiego z egzotycznemi dążnościami obcego w kraju poety, wreszcie ze skłonnością do symbolu i allegorji. Przebywając wciąż między Rzymem a Atenami, między Jerozolimą a Teheranem, tworzył on poematy na tle już to grecko-klasycznem, już to persko-arabskiem, już wreszcie na tle biblijnem (Magdalena). Pierwszy jego zbiór nosi nazwę: „Vallfart och Vandringsaar“ (Lata wędrówek) — i maluje głównie świat zewnętrzny. W księdze „En samhetens Tankar“ (Myśli w Samotności) — występuje on jako liryk refleksyjny. Zdaje się jednak, że ten egzotyzm znużył autora — i po dłuższym pobycie w kraju, ogłosił on romans p. t.: „Hans Alienns“, gdzie wystawia samego siebie jako obcego we własnym kraju, „tak płaskim, tak szarym, tak pozbawionym radości, tak ubogim i przyodzianym w łachmany“.

A jednak duch kraju oddziałał żywo na jego twórczość. Zaczął badać historję Szwecji — i znalazł w niej postać — częściowo pokrewną sobie — Karola XII.

Podobno śród pobudek, jakie oddziałały na Heidenstama — przy wyborze tej epicznej figury króla szaleńca — była „Trylogja“ Sienkiewicza.

„Trylogja“ w Szwecji mniejsze ma powodzenie, niż w innych krajach. Wynika to niewątpliwie stąd, że autor z konieczności umalował Szwedów zbyt na czarno. I oni też zatęsknili do epopei, w którejby sami właśnie grali rolę bohaterów i to bohaterów „bez trwogi i zarzutu“, szalonych może, niepolitycznych, ale dumnych, jak hidalgowie hiszpańscy, a pełnych poświęcenia, męstwa i godnych sławy nieśmiertelnej.

Takie epos — równoważące niejako obrazy „Trylogji“ Sienkiewicza — zamierzył napisać Heidenstam. Ale do celu swego wybrał on zupełnie inną formę: nie jest to bynajmniej rzecz powiązana intrygą w jakąś jednolitą fabułę, jak n. p. „Ogniem i mieczem“; nie ma tu bohaterów szczegółowo wyrysowanych, jak: Skrzetuski, Wołodyjowski, Podbipięta, — Heidenstam poszedł wzorem skaldów północnych dawnego czasu — i ułożył szereg rapsodów — jakby oderwanych,

samoistnych ballad rycerskich; w każdym rapsodzie działają inni bohaterowie, w każdym wystawiona jakaś cnota narodowa szwedzka. Jak gęślarze serbscy układali pieśni o królewiczu Marku, po przez wszystkie te rapsody przesuwa się zawsze jedna i ta sama postać: Karol XII. Czasami zjawia się na chwilę jedynie, czasami tylko mówi się o nim; czasami on jeden, w otoczeniu swoich rycerzy — Karolinów — działa, przemawia i walczy. Ale duch jego jest wszędzie. Przytem autor stara się dobrać momenty najbardziej charakterystyczne — i powiedzmy śmiało — najbardziej efektowne. Bohaterem epopei nie jest właściwie Karol XII., ale naród szwedzki, wojownicy Karolowi — i autor miał raczej na celu podnieść chwałę i wielkość swego narodu, niż tego chybionego Napoleona. Istotnie, Karol XII. ma dla Szwecji to samo znaczenie, co dla Europy Napoleon I.: ale, choć obaj są zagadkowi, w Napoleonie był jakiś tajemniczy magnetyzm, który czarował i zapalał miljony. Napoleona kochali, uwielbiali, szaleli za nim. Karol XII. nie miał tego czaru: nikt go nie kochał, on był samotny śród swoich, oderwany od swego ludu; jego romansowa wyobraźnia, pełna wypraw awanturniczych, była sprzeczna z nastrojem ludu, oddanego psalmom i pracy; doprowadził on Szwecję do upadku, do nędzy, do rozbicia. A jednak taka jest sprzeczność natury ludzkiej, że Szwedzi go podziwiali i kochali w nim swoje własne szaleństwo, niepolityczność i żądzę wielkości. Niosąc cały ogrom nieszczęść sobie i swej ojczyźnie — Karol XII. dał jej dziesięciolecie sławy niezmiernej: aż do bitwy Połtawskiej Szwecja trzęsła całą Europą — jak mocarstwo pierwszorzędne. Karol XII., jak królewicz z bajki, obalał i przywracał trony. To też Szwedzi uwielbiali Karola, nie dla jego osoby, ale dla tej chwały i potęgi, których aureolę rozlał na tej ziemi „szarej i ubogiej“. Postać jego urosła wielce w wyobraźni ludu: kiedy minęły wspomnienia klęsk, pozostały wspomnienia sławy i wielkości.

Heidenstam nie przestał i w tym eposie — gdzie zresztą jest zupełnie objektywny — być sobą — to jest egzotycznym neoromantykiem, arystokratycznym czcicielem jednostki przeciw masie. Karol XII. jest jednostką — i w imieniu indywiduum występuje przeciw nowemu społeczeństwu — (Rossy), w którem autor wystawia jednolitą potęgę masy. Z jednej strony bezpłciowe marzycielstwo Karola XII., z drugiej trzeźwy, materjalistyczny genjusz Piotra Wielkiego: oto starcie dwóch potęg, dwóch światów i dwóch idei.

Rapsodów jest szesnaście. W pierwszym opisuje poeta śmierć króla Karola XII. i jednoczesny pożar królewskiego zamku w Stockholmie, w ostatnim śmierć Jadwigi-Eleonory, królowej matki, na której pogrzeb nie miał środków zubożały skarb królestwa szwedzkiego.

Pomiędzy tym początkiem a końcem mamy szereg obrazów malowniczych. Koronacja Karola: jego nieśmiałość i roztargnienie w czasie tego obrzędu: dalej jego rozmyślania o państwie i pobożne modlitwy o mądrość i męstwo; a potem szaleństwa i awanturnicze nocne wycieczki nieokiełzanego chłopca lat osiemnastu, tak, że go nazywano żartem: „Rex Suecorum et Scandalorum“, (zamiast Vandalorum, jak się do dziś przezywają królowie Szwecji). Ale to życie awantur bez bohaterstwa znudziło Karola; dodać trzeba, że do anomalji tego człowieka należała też jego bezwzględna obojętność dla kobiet: rzecz wyzyskana przez Kraszewskiego w historji Aurory Königsmark. Jedyna rzecz, którą kochał, to była wojna lub opowiadanie o wojnie.

Autor nie wprowadza nas wcale w zakulisowe sprawy polityki. Wojna od razu jest w ruchu.

Oto na ubogim folwarku dwoje narzeczonych, Axel i Ulryka, za parę dni ma się połączyć ślubem. Wtem rozkaz królewski wzywa Axela: chłopiec flegmatyk z niechęcią słucha, lecz w miarę, jak przystraja się w mundur, ogień bojowy się w nim rozpala. Idzie jak bohater — i po tygodniu przywożą go trupem. Zginął przy boku Karola, ciałem go własnem zasłoniwszy. Oto w czasie oblężenia Rygi wydano rozkaz, aby wszystkie kobiety miasto opuściły, bo głód powszechny. Gunel-czarownica, wiecznie światu złorzecząca, niechce opuścić miasta: ma ona tu wnuka dobosza, któremu ciągle dokucza i którego niechce opuścić. Przebiera się za żołnierza — i gdy chłopca ranili, ona go osłania — i sama raniona na własnych rękach do domu go odnosi. U wrót miasta umiera — z odpływu krwi — a gdy wódz poznał w niej kobietę — nakazał opuścić sztandary.

Maans, zwany Francuzem, bo dwa miesiące był we Francji, na czele 28 Szwedów — walczy

przeciw 300 Polakom; giną wszyscy, on jeden — udając trupa — ratuje się i o straszliwej bitwie donosi królowi.

W Narwie rozwinęło się maruderstwo; okradają trumny. Jeden pastor wynosi w trumnie za miasto żywą dziewczynę, aby ją uratować. Dziewczyna dostaje się w ręce Rosjan, ale ci ją dla pewnych względów odsyłają do obozu szwedzkiego — i oto staje się ona bohaterką narodową — tak, że ją zowią wszędzie: regina Carolina!

W rozdziale p. t. „Mazepa“, autor maluje nam przemarsz Karola przez Ukrainę. Nieszczęście się zbliża. W dalszym ciągu, zima ich pochwyciła i muszą siedzieć w Hadziaczu. Tu mamy wielkich dowódców: Lewenhaupta, Reinshjölda, Pipera i innych. Przedewszystkiem zaś jest tu król lekkomyślny, który samotrzeć konno jedzie w step, nie bacząc na kule kozackie, co z daleka świszczą. Jeden koń padł — i wszyscy trzej — król i dwaj rycerze — muszą się ukryć w małym domku wśród pola. Naprożno chcą namówić króla, by powracał. Twierdzi on, że muszą mieć trzy konie i liczy, że Kozakom jednego porwie. Nocują w chacie, a młodszy z rycerzy dobrowolnie stanął na straży. Nazajutrz rano młody wartownik znaleziony został na tem samem miejscu — na śmierć zamarznięty.

Stary Bengt Geting, raniony w piersi, wyraża przedśmiertne życzenie, aby mu dano czystą białą koszulę do grobu.

Bitwa Połtawska stanowi perłę całego tomu. Autor ją opisuje z Homerowską powagą i spokojem. Wszystkich bojowników wylicza. Podnosi bohaterstwo i zaznacza nierozum króla w tej bitwie. Wydał on bezmyślne rozporządzenie, którego sam się wstydził, i gdy go feldmarszałek pytał, czy to jego rozkaz, Karol XII. — ze wstydu — zaprzeczył. Skłamał, i zły na siebie, postanowił zginąć.

Taka jest psychologja tej straszliwej bitwy, gdzie drobna liczba Szwedów walczyła przeciw pięćkroć większej masie Rosjan, król, jak wiadomo, musiał uchodzić. W historję bitwy Połtawskiej wplótł Heidenstam liryczne dzieje żołnierza Maltena Predikare, mistycznego psalmisty, który przypadkiem zabił chłopa i, gryziony tą zbrodnią, opiekuje się jego córką.

Historja Karola XII. staje się coraz bardziej szaloną. Na radzie państwa budzą się protesty przeciw jego panowaniu, niesłychanym kontrybucjom i upadkowi narodu. Ale Wrede podnosi mistyczne znaczenie Karola XII. Naród cierpi. Ale nie przeszkadzajmy tej jego wielkości: chwała Karola XII., to cierniowa korona Szwecji, ale korona chwały. I lud tak samo rozumie rzecz. W rapsodzie: „Na placu kościelnym“, gdy się dowiedziano, że król w niewoli — wszyscy, najbiedniejsi — zbierają swe grosiki — na okup tego męża klęski i obłędu.

Rozdział ostatni odbywa się na dworze w Sztokholmie. Stary chirurg Blomberg opowiada jednej z dam dworskich historję swego uwięzienia w Rosji i spotkanie z Piotrem W. Autor maluje umyślnie tę postać dla wykazania kontrastu z Karolem XII. Opowiadanie to ma miejsce w tym samym czasie, kiedy królowa Jadwiga-Eleonora, matka nieszczęśliwego zbiega z pod Połtawy, wydaje ostatnie tchnienie. Dwór szwedzki jest tak biedny, że nie ma za co pochować królowej matki.

Taką jest w całości — szkieletowo tu wykreślona — smutna a piękna Saga o Karolu XII. Saga, powiadam, nie powieść, gdyż, ściśle biorąc, fabuły tu nie ma. Autor układa swą rzecz krótko, jasno, wyraźnie: żadnych opisów, słowa samorzutne, rysy wydatne, te co uderzyły samych wojowników. Karol XII. żywy stoi przed nami; zagadkowy pozostał, bo inaczej przestałby być Karolem XII. Słyszymy jego słowa, ale nie zawsze spostrzegamy węzeł, łączący jego myśli. Duch przeszłości, romantyczny wódz narodu biednego a pełnego heroizmu, milczący a nieśmiały, i razem szalenie zuchwały i w waleczności nieposkromiony — upadł w walce olbrzymiej, w walce nad siły, którą podjął. Może być, że urok tej walki leży właśnie w jej hamletyzmie i bezużyteczności.

Antoni Lange.

IWAN WAZOW.

UPARCIUCH.

(Dok.)

OPOWIADANIE

Przekład z bułgarskiego przez J. Z. A.

Gdy Mładen był już daleko w polu, silny blask uderzył go z lewej strony. Obejrzał się, w dali na niwach żółte płomyki wybiegały ze snopów, wiatr je rozwiewał — a one obejmowały coraz to nowe snopy i stogi, tworząc dwie rzeki płomieniste. Cała okolica tonęła w tem świetle — pożar przeniósł się na wysoki stóg — słup ognisty wzniósł się w powietrze, a wiatr coraz silniejszy rozpryskiwał go w miljony języków.

Nagle Mładen usłyszał w pobliżu jakieś kroki — spojrzał przestraszony i zobaczył naprzeciw siebie dwie postacie, byli to z jego wsi dwaj wieśniacy, on zwinnie skoczył w krzaki, szedł dalej pochylony, — był przekonany, że owi wieśniacy go nie poznali.

Uspokojony, biegł dalej i znowu przystanął, aby spojrzeć na pożar. Ten widok sprawiał mu boleść — ileż to pracy ludzkiej ginęło — w mgnieniu oka obracając w popiół dobrobyt zdobyty przez człowieka, a żadna siła ludzka nie mogła nic uratować z tego morza płomieni.

Z pewnością ten ogień był podłożony ręką jakiegoś złoczyńcy! Mładenowi się wydawał złym znakiem dla niego. Biegł szybko, lecz złowroga łuna wszędzie mu towarzyszyła. Gdy nareszcie jakiś pagórek zakrył ją przed oczyma Mładena, lżej mu się zrobiło na sercu.

Gdy stanął na miejscu, towarzysze jego byli pogrążeni w śnie głębokim. Rzucił się na ziemię i zasnął przy nich, w chwili, gdy blado-różowa jutrzenka ukazała się na cichem, ciemnem tle nieba.

Słońce zeszło, most był poprawiony, pociąg ruszył dalej, popołudniu stanęli w mieście, gdzie był cel ich podróży.

Na drugi dzień wieczorem zawołano Mładena do przełożonego. Zdziwił się wielce, po co go wołają. Lecz zdziwienie jego zamieniło się w przestrach, zbladł, gdy wszedłszy do naczelnika, ujrzał tam ojca Canki, Miłosza.

— Czyżby mnie kto widział? — pomyślał; nie, o tem nikt nie wie.... Miłosz zapewne chce mnie oskarżyć za to, co mu przedwczoraj powiedziałem. To mi nie zaszkodzi.

Twarz oficera była surową — Miłosz był wściekły.

Mładen stanął jak posąg.

— Mładenie Rajczow, gdy zatrzymaliście się przy zepsutym moście, czyś się oddalał stamtąd? — zapytał go oficer.

Mładen zrozumiał, że wycieczka jego do wsi jest wszystkim znaną, zapewne poznali go owi dwaj wieśniacy, których na drodze spotkał i donieśli o tem. Postanowił nie kłamać, wyznać całą prawdę i odważnie znieść karę. Tylko nie powie jednego, — ani słówka o widzeniu się z Canką! Nie, za nic w świecie tego wstydu nie zrobi dziewczęciu. Raczej umrze, a tego nie powie. Postanowił to w jednej chwili — i nie ustąpi od tego. Upór jego przemienił się w żelazną wolę.

Mładen był jednym z tych naszych surowych wieśniaków, mających twardy i nieugięty charakter, który podczas ostatniej wojny, zadziwiał wszystkich w szpitalach nadludzką cierpliwością i nieczułością pod nożem chirurga.

Na pytanie naczelnika, Mładen odpowiedział krótko, że był w swojej wsi.

— Coś tam robił?

Mładen milczał.

— Kłamiesz! boś nie chodził do naszej wsi, byłeś na naszych polach! — zawołał Miłosz z gniewem.

Było to niespodzianką dla Mładena. Widocznie o jego spotkaniu z Canką nikt nie wie. To go ucieszyło. Lecz dlaczego Miłosz tak się gniewa? po co on tu przyszedł? Nic a nic tego nie rozumiał.

— Co robiłeś na polach Miłosza? — zapytał oficer, który uważał, że nie ma potrzeby pytać się go, dlaczego chodził do wsi, gdyż był mocno przekonany, że Mładen do wsi nie chodził.

Teraz dopiero Mładen domyślił się, o co go oskarżają. Spalone stogi należały do Miłosza, a Miłosz podejrzewał go o podłożenie ognia — o taki okropny występek! Ta myśl oburzyła go, lecz rzekł spokojnie:

— Ja byłem we wsi, na niwach Miłosza nie byłem, i nie szukałem tam niczego.

Stanęli mu na myśli dwaj wieśniacy; tak, to oni z pewnością narobili mu tej biedy.

Oficer się zachmurzył.

— A dlaczego przedwczoraj groziłeś Miłoszowi? zapytał, wskazując na ojca Canki.

Mładen przerażony spojrzał na Miłosza.

— Cóż, teraz udajesz głupiego? — zawołał Miłosz; — zapytaj go, zapytaj, panie oficerze, czyż nie powiedział, że mnie puści z dymem?

— Odpowiadaj! — rozkazał oficer.

— Powiedziałem, rzekł Mładen.

Ta szczera odpowiedź zadziwiła oficera — i bardzo mu się podobała. Mładen zyskał jego współczucie, lecz na nieszczęście wszystkie okoliczności były przeciw niemu. Oficer nie miał żadnej wątpliwości, że ma przed sobą prawdziwego sprawcę pożaru.

— Zaprowadź go na odwach! rozkazał żołnierzowi, będącemu na służbie.

Gdy Mładena wyprowadzono, oficer zwrócił się do Miłosza:

— To dziwne, ten chłopak niepodobny wcale do...

— E! to łajdak skończony, panie kapitanie, czyż ci nie powiedział, jak na spowiedzi? Z ojca komity jaki syn być może! — przerwał mu żywo Miłosz.

Oficer spojrzał na niego surowo i wyszedł.

Stosując się do praw obowiązujących, oddano przestępcę władzom cywilnym.

Podobna sprawa nigdy jeszcze tak jasno się nie przedstawiała, — nigdy też sprawy nie rozpatrzono tak prędko — a sędziowie nigdy jeszcze nie wyrokowali z tak czystem sumieniem. Dowody winy Mładena były tak jasne, tak przekonywujące, że nawet adwokat broniący Mładena, pomimo, że ten ostatni ciągle się zapierał, uważał go za winnego, i ograniczył swą obronę, do prośby o przyznanie okoliczności łagodzących, a tem samem zmniejszenie kary. Mładena skazano na trzy lata więzienia.

*

Pięć miesięcy minęło, jak Mładen męczył się w więzieniu.

Pewnego razu zmieszał się bardzo młody więzień, ujrzawszy wchodzącego do więzienia za wachmistrzem żandarmów ojca Canki.

— Chłopcze! — zawołał Miłosz zadyszany — bądź dobrej myśli, ciebie uwolniono z więzienia, tyś niewinny, dziecko moje.... to ten przeklęty Stano spalił moje stogi, przyznał się sam. No! wychodź-że prędzej.

Mładen zdziwiony, nie wierzył. Wachmistrz potwierdził słowa Miłosza, odczytując rozkaz prezesa sądu okręgowego, uwalniający Mładena.

— Synku, czy mi przebaczysz, żem ci tyle złego zrobił? Ja cię proszę o przebaczenie! mówił Miłosz pokornie, prawie ze łzami; — dlaczego nie wytłumaczyłeś nam wszystkiego, — dlaczego nie powiedziałeś prawdy? — A tak! cośmy narobili!

— Przecież wam powiedziałem baj Miłoszu, że nawet nie widziałem twego pola?

— No, teraz wierzę.... lecz gdy cię pytano w sądzie, dlaczegożeś nie powiedział, gdzieś był i kto cię widział we wsi?

Mładen zamyślił się, zaczerwienił i rzekł: dlaczego nie powiedziałem? — dla Canki?

— Co! dla Canki?

Poszedłem do wsi, chcąc się pożegnać z Canką, wtedy przysięgliśmy sobie, że się pobierzemy.... Czyż mogłem wspomnieć imię Canki, czy mogłem ją oczernić?

I spojrzał Miłoszowi prosto w oczy, lecz ten zamiast gniewu, doznał innego uczucia.

— A! to tak! dziecko, wy się naprawdę kochacie z Canką? To ona dlatego tak się nachmurzyła od tego czasu.... ale ani słówka nie pisnęła.... No, no, pocałuj mnie w rękę i poproś, żebym ci ją dał, niech się wszyscy cieszą.

— Dobrze robisz, Miłoszu, bo wziąłbym ją gwałtem, tak po żołniersku, zawołał Mładen, całując go w rękę.

Miłosz spojrzał mu prosto w oczy:

— A gdybym ją był dał komu innemu, czybyś mnie podpalił?

— No, no, baj Miłoszu, ty mnie znasz!...

— Odtąd nazywaj mnie: ojcze, rozumiesz: ojcze, nie myl się, Komito! niby surowo zawołał uśmiechnięty Miłosz, wyprowadzając go z więziennej bramy.

Zaręczyny Mładena z Canką odbyły się tego samego wieczora, według życzenia uszczęśliwionego Miłosza — wesele zaś w tydzień potem.

Gdy we wsi zabrzmiała weselna muzyka, jednocześnie rozeszła się wieść o wypowiedzeniu wojny serbsko - bułgarskiej.

Nazajutrz Mładen udał się na pole walki.

Na nic się nie zdały prośby i łzy młodej, zrozpaczonej żony. Mładen nie dał się ubłagać. Na prośby Miłosza władza wojskowa dała Mładenowi urlop tygodniowy, — lecz on się uparł, — mówiąc:

— Teraz moją żoną, moją rodziną, moim skarbem, mojem wszystkiem jest ojczyzna, dopóki w niej wróg się znajduje.

I poszedł z jednego wesela na drugie — na krwawe....

I już nie wrócił; zostawił on dzielne swe kości na wzgórzach Carybrodu.

Jako pamiątkę po nim Canka miała jedynego synka, pięknego, modrookiego aniołka, wrzeszczącego w niebogłosy, a upartego, jak djabeł.

Często dziadek, gdy go chłopak podrapał po rękach, mówił mu, całując jego pulchną buzię:

— Zupełny ojciec z niego! cały k o m i t a! k o m i t a — uparciuch!

Żywność mas ludowych.

(*Über Wandlungen in der Volksernährung.* — Napisał Dr. Alfred Grotjahn. Lipsk 1902, w wydawnictwie G. Schmollera: *Staats und socialwissenschaftliche Forschungen.* XX. 2)

Na podstawie olbrzymich materjałów statystycznych udało się autorowi powyższego dziełka skonstruować kilka praw, dotyczących zmienionych w ostatniem stuleciu warunków żywienia się mas ludności, która to teorja tem większą posiada wartość, ile że autor, jako uczony lekarz zwracał uwagę także i na wszelkie zjawiska, zostające z tą kwestją w pewnym związku.

Aby zrozumieć znaczenie społecznych warunków dla żywienia się człowieka, konieczne jest odróżnienie między potrzebną do wyżywienia człowieka w pewnym wieku i stosunkach masą żywności, a skonstatowaną na podstawie doświadczeń ilością żywności f a k t y c z n i e przez indywidua pewnej kategorji spożywanej.

Według Grotjahna skonstatowanie czy pewien sposób żywienia się jest mniej lub więcej racjonalny, zależy od tego, czy się zna ilość pokarmów zbożowych, mlecznych, tłuszczów i mięsa, spożywanych rocznie przez pewnego człowieka. Jako minimum żywności rocznej dla robotnika w naszej szerokości geograficznej oznacza on 260 do 275 kilogramów cerealjów t. j. produktów zbożowych, 150 do 200 kartofli, 30 do 40 kg. roślin strączkowych (legumin), 180 do 350 kg. mleka, 15 do 30 kg. tłuszczu i 50 do 60 kg. mięsa.

Jeżeli faktyczna żywność stoi pod niniejszą granicą minimalną, żywność jest bezwarunkowo n i e w y s t a r c z a j ą c ą, po nad wyższą granicę zaś jest o b f i t ą.

Jest szeroko rozpowszechnione zapatrywanie, jakoby w przeciągu wieku XIX. poziom żywienia się mas podniósł się znacznie wyżej, a to dlatego, że nie zachodzą obecnie wypadki ogólnego głodu, rozpowszechniono środki żywności takie, które dawniej tylko dla bogatszych były dostępne, a wreszcie wzmogła się znacznie konsumcja mięsa.

Grotjahn twierdzi wprost przeciwnie i przedstawia różne typy żywienia się, wraz z ich stosunkiem do normalnych potrzeb człowieka.

Pierwszym typem jest żywność ludzi zamożnych, która odznacza się tem, że jest dowolnie obraną to jest, że potrzeba pokarmu, w objektywnie wystarczającej ilości, a objektywnie smacznej żywności, zupełne znajduje zadowolenie. Wolny wybór odnosi się także do rosnącej razem ze stopniem kultury możności wyemancypowania się z pod lokalnej żywności, która jest konieczną tam, gdzie naturalne gospodarstwo główną odgrywa rolę. Do najulubieńszych środków żywności należy zboże, kartofle, mleko i mięso, przyczem ciekawą jest rzeczą, że w budżecie ludzi zamożnych, proporcja między pokarmami zbożowymi i kartoflanymi a mlekiem i mięsem, zawsze jest jednakowa. Ilość chleba, spożywana przeciętnie przez człowieka zamożnego wynosi 165 kg., kartofli 180 kg., cukru 25 kg., tłuszczu w formie przeważnie masła 36 kg., mięsa zaś przeciętnie 100 kg. przyczem nie należy zapominać, że ilości te odnoszą się do osób silnych fizycznie i pracujących na wolnem powietrzu.

Żywność ta fizjologicznie jest zupełnie wystarczającą, a dobrobyt nie powinien się objawiać przekraczaniem jej, gdyż to jest właśnie powodem, że walka socjalna, jest właściwie walką między ludźmi opasłymi, a zupełnie głodnymi. O ile jednak ilość pokarmu ma swoje fizjologiczne granice, to natomiast jakość jest nieograniczoną, jak niegraniczone są wymysły sztuki kucharskiej.

Żywność zamożnych klas ludności zbliża się do żywienia się sfer mieszczańskich, niższych urzędników i lepiej sytuowanych robotników, o ile im różne warunki (np. wielkość rodziny) pozwalają na to. Wprawdzie przygotowanie i jakość potraw jest gorsza, niż u ludzi zamożnych, ale zawsze jeszcze proporcja między pokarmem zbożowym a mlekiem i mięsem jest nienaruszona, tylko ilość spożywanego mięsa rzadko dochodzi tak jak tam do 100 kg. I w tej klasie lokalny charakter środków żywności, wobec możności dowozu zanikł prawie zupełnie.

Natomiast rozstrzygającym jest lokalny charakter żywności u ludu wiejskiego, małomiasteczkowych rzemieślników i tych robotników, którzy dla uzupełnienia własnego utrzymania prowadzić muszą gospodarstwo rolne lub chów bydła. Żywność tam produkuje się na miejscu i bez pośrednictwa handlowego bywa spożywaną, a skutkiem tego i wybór środków żywności jest bardzo utrudniony. Na pierwszem miejscu stoi pokarm zbożowy, kartofle, a mięso tylko o tyle, o ile możliwy jest chów bydła, a zwłaszcza świń.

Odrębną zupełnie klasę pod względem odżywiania się stanowią robotnicy przemysłowi, oderwani zupełnie od gospodarstwa naturalnego.

Tylko bowiem bardzo dobrze opłacani robotnicy mogą się odżywiać racjonalnie, pokarmem zbożowym, mięsnym i cukrem. Reszta robotników — a więc wszyscy z małymi wyjątkami — nie spożywa tyle, ile powinni i w takim stosunku pokarmów, skutkiem tego powstaje chroniczny stan złego odżywiania się, nawet tam, gdzie nie ma mowy o ogólnem zubożeniu lub pauperyźmie.

W ten sposób w odżywianiu się mas w ciągu wieku XIX. zaszła tylko zmiana na gorsze, bo zamiast wystarczającej żywności lokalnej, wiejskiej (naturalnie w okolicach bogatszych) przyszło niewystarczające odżywianie się miejskie, które z konieczności musi być uzupełniane alkoholem.

Ułatwienie komunikacji, rozwój gospodarstwa światowego prowadzi z jednej strony do lepszego rozdziału środków żywności, z drugiej zaś do zniesienia lokalnego charakteru odżywiania się coraz to szerszych warstw ludności. Dokonuje się po prostu zmiana smaku. Monotonne pożywienie ustępuje miejsca różnorodnemu. Ale szerokie masy ludu pracującego tak w miastach jak i na wsi, nie mogą z tej rozmaitości korzystać. I przeciwnie, wiele produktów wiejskich, które służyły dawniej do własnego odżywiania się, otrzymało cenę targową i coraz bardziej bywają pozbywane, podczas gdy dla samego właściciela, pozostają takie tylko bezwartościowe produkty, które nie dadzą się sprzedać.

W ten sposób objawia się obecnie tendencja ujednostajnienia konsumcji, jedynie według przynależności klasowej i wysokości dochodów. Kwestja odżywiania się staje się kwestją klasową.

Ale jest ona także kwestją narodową. Chroniczne złe odżywianie się prowadzi całe narody do fizycznej i psychicznej degeneracji, tak że dziś już powiedzieć można, że przyszłość wielu narodów zależy od tego, czy wczas jeszcze potrafią one wynaleźć środki zaradcze na ogólną nędzę.

URYWKI.

„Historja świadczy przykładami, iż prawdę obalano siłą prześladowania; a jeżeli czasem nie zgnieciono jej na zawsze, to przynajmniej na kilka wieków“...

„Jestto coś na kształt leniwej sentymentalności twierdzić, że prawda, jedynie jako prawda, ma właściwą sobie, a błędom nieudzieloną siłę przezwyciężania lochów więziennych i męczeńskich palów. Ludzie z niemniejszą gorliwością hołdują prawdzie, jak i błędom częstokroć, a dostateczne zastosowanie prawnych lub nawet społecznych kar, odnosi zazwyczaj skutek, wstrzymując propagandę tak jednej, jak i drugich. Istotna wyższość prawdy zależy na tem, iż gdy jakaś opinja jest prawdziwą, to choćby raz i dwakroć i więcej razy została stłumioną, zawsze znajdą się ludzie, którzy ją w kolei wieków napowrót podnosić będą, dopóki jedno z jej zmartwychwstań nie przypadnie na czas, gdzie wskutek przychylnych okoliczności ujdzie prześladowania — dopóki nie oprze się na tylu głowach, aby stanowczo stawić czoło wszystkim następnym zamachom na jej życie.

Odpowiedzą mi na to, że my nie karzemy teraz śmiercią wnoszących nowe opinje: nie jesteśmy, jak nasi ojcowie, nie zabijamy proroków, lecz owszem stawiamy im sarkofagi. To prawda, iż my już nie oddajemy na śmierć kacerzy; nawet surowość kar, na któreby nowożytne poczucie prawdopodobnie zezwolić mogło przeciwko choćby najszkodliwszym opinjom, nie jest już wystarczającą do ich wykorzenienia. Lecz nie pochlebiajmy sobie, abyśmy już byli zupełnie wolni od plamiącego nas, legalnego nawet prześladowania. Kary na opinje, lub co najmniej na objawianie ich, istnieją dotychczas w prawie, a wzmacnianie ich nawet w naszych czasach nie jest tak zbyt rzadkiem, abyśmy zupełnie przestali wierzyć, iż lada dzień mogą być w całej swej sile wskrzeszone“.

J. Stuart Mill: „O wolności“.

Z PIŚMIENNICTWA i SZTUKI.

KSIĄŻKI. *Słowackiana* za r. 1901 i 1902. Smutny to fakt, który trudny kiedyś będzie do zrozumienia dla potomności, że do tej pory, pomimo coraz bardziej w ostatnich czasach wzrastającego zrozumienia i kultu dla Słowackiego, nie mamy jeszcze zupełnego wydania krytycznego jego dzieł i że tyle jeszcze z nieocenionej jego spuścizny rękopiśmiennej zupełnie dla ogółu pozostaje nieznanego! A i o tem także nie należy zapominać, że to, co do tej pory napisano o twórcy „Króla Ducha“, nie stoi jeszcze na wysokości zadania, ani na wysokości współczesnego naszego piśmiennictwa i sztuki. Znakomite dzieło Małeckiego, pomimo swych zalet pierwszorzędnych, jest dzisiaj bądź co bądź już przestarzałe, zaś książka p. Hoesicka, pomimo interesujących szczegółów i szczególików, ma raczej tylko wartość bjograficzno-anegdotyczną. Pisma Jellenty i Matuszewskiego są dopiero uświadomianiem sobie potrzeby szukania dróg nowych. Reszta jest tylko... „historją literatury“. Pięćdziesięcioletnia rocznica zgonu Słowackiego, zdaje się, że zastała społeczeństwo nasze jeszcze niedostatecznie przygotowane. Trwalszą jej pamiątką jedynie pomnik miłosławski, a obok niego książeczka Dra Hahna (Wiktor

Hahn: „Bibljografja o Juliuszu Słowackim“ za rok 1899. Lwów 1901), w której autor skrzętnie zebrał wszystkie głosy okolicznościowe prasy naszej, świadczące bądź co bądź, jak dalekiem już echem zewnętrznie przynajmniej fakt tej rocznicy odbił się w społeczeństwie polskiem. Bibljograficznej wartości, jaką posiada praca Dra Hahna, trudno przyznać pracy p. Wilkosza (Jan Wilkosz: „Prrzegląd pism pośmiertnych J. Słowackiego — do r. 1842“. — I. Sprawozdanie Dyrekcji c. k. Gimnazjum IV. w Krakowie za r. 1902), spóźnionej już dziś zupełnie i zbytecznej, a świadczącej o małej u autora znajomości nowszych badań nad twórczością i życiem Słowackiego.

Prócz tych dwóch prac, świeżo wydanych, zanotować tu jeszcze należy wydany przez Dra Biegeleisena „Pamiętnik Słowackiego“ (Warszawa 1902), rzecz, składającą się głównie z dawnego w tejże sprawie artykułu wydawcy („Przewodnik naukowy i literacki“. Lwów 1884. I.), do którego dodane wyjątki z „Pamiętnika“ słabe zaledwie dać mogą wyobrażenie o tem jednem z najważniejszych dokumentów do poznania tak mało do tej pory znanej i ocenionej twórczości Słowackiego z ostatnich lat jego życia (1843—1848). Prawda, że ugrupowanie należyte tych luźnych zapisków, poezyj, listów i t. d., jest zadaniem nielada. Poezje, zawarte w „Pamiętniku“, wydrukowali już zresztą poprzednio: Małecki, Rychter i sam wydawca, który dawniej już raz streścił cały „Pamiętnik“ i podał bibljografję drukowanych z niego urywków w artykule p. t.: „Autografy J. Słowackiego z ostatnich lat jego życia“ („Wiadomości bibljograficzne“. Warszawa 1884).

Najlepiej przedstawia się za rok ubiegły i rok bieżący publikacja nieznanej korespondencji Słowackiego. Więc najpierw najbardziej już na tem polu zasłużony p. L. Méyet (w „Gazecie Lwowskiej“) wydobywa z ukrycia dwa nieznane dotąd listy Słowackiego. Jeden z nich pisany jest do Ujejskiego i nosi datę Bożego Narodzenia r. 1848, drugi, pisany do Gaszyńskiego, datę 22. maja 1839 r. Ten ostatni rzuca wiele ciekawego światła na genezę „Anhellego“, którego tłumaczeniem na język francuski zajęty był właśnie w owym czasie Gaszyński. Znane do tej pory cztery listy twórcy „Balladyny“ do autora „Trzech psalmów“ (Warta. 1879 i 1881), uzupełnia wreszcie p. Kallenbach (w „Bibljotece warszawskiej“) dwoma nieznanymi listami z r. 1846 i przynosi w ten sposób niezmiernie cenne uzupełnienie źródeł, służących do poznania wzajemnego stosunku obydwóch wieszczów... Skromnie więc bardzo przedstawia się nasz najświeższy dorobek na tem tak ważnem a zaniedbanem polu naszego piśmiennictwa, jakiem jest znajomość dzieł i życia twórcy „Anhellego“. Pocieszamy się jednak głuchemi wieściami, według których zupełne wydanie krytyczne dzieł Słowackiego opracowuje już od dłuższego czasu znany, a niestety, od dłuższego czasu prawie że zamilkły, literat, p. Artur Górski. Może wreszcie, biorąc do ręki pierwsze lepsze wydanie któregokolwiek z klasyków niemieckich, nie będziemy już się musieli rumienić, myśląc o tym, którego „siła fatalna“ nie przestaje gnieść nas i w „aniołów przerabiać“.

A. C.

*

O pochodzeniu człowieka, przez prof. Dr. Ernesta Haeckla, z portretem autora, ze słowem wstępnem prof. Dr. B. Dybowskiego i słowniczkiem nazw zoologicznych. Lwów 1902. (Przekład Dr. M. Grochowskiego).

— Ojcze, powiedz mi, dlaczego słońce nie spada?

Ojciec wstydził się, ponieważ nie wiedział, dlaczego słońce nie spada i ukarał dziecko, ponieważ się wstydził.

Dziecko obawiało się gniewu ojca i nie pytało już nigdy, ani dla czego słońce nie spada, ani o inne rzeczy, o których chciałoby się dowiedzieć. Dziecko to nie dojrzało nigdy na męża, jakkolwiek sześć tysięcy lat..... o nie, o wiele dłużej żyło.

I pozostało głupiem i tępem po dzień dzisiejszy.

(„Czwarta historja o autorytecie“. *Multatuli.* **„Listy Miłosne“).**

Zaprawdę, nie wesoło przedstawiałaby się nam przyszłość nasza, gdybyśmy wierzyli, że ludzie i społeczeństwa ludzkie pozostaną takiemi, jakiemi są w chwili obecnej. Dzieje, czyli tak zwana historja powszechna, świadczą wprawdzie o postępie techniki człowieka, ale one stawiają nam przed oczy tak mały przeciąg czasu, że wniosków na przyszłość o rozwoju ludzkości na drodze etyki nie można z nich wysnuć prawie żadnych. Wszakże i dziś jeszcze znajdują się na kuli ziemskiej ludy, które obyczajami swymi i kulturą stoją niżej od ludów opiewanych przez Homera — a u ludów, stojących na najwyższych szczeblach cywilizacji, znajdujemy etykę godną bohaterów Iliady, jeżeli już nie ludzi ogoniastych Hamona.

To też każdemu myślącemu narzuca się samo przez się pytanie, o ile człowiek wznieść potrafi w przyszłości nad stan obecny, panowania siły przed prawem, przesądów przed prawdą.

Jeżeli odpowiedź na to pytanie nie wyglądałaby wesoło ze stanowiska historji powszechnej, to o wiele piękniej się nam przedstawi ze stanowiska wiedzy biologicznej, czyli historji organizmów.

„Macie za sobą drogę od robaka, aż do człowieka“ — powiada Nietzsche — „lecz wiele jeszcze jest w was z robaka“.

„Czem jest małpa dla człowieka? Pośmiewiskiem lub wstydem bolesmym. Tem samem powinien być i człowiek dla nadczłowieka: pośmiewiskiem lub wstydem bolesnym“.

Wglądnijmy w przeszłość człowieka, uprzytomnijmy sobie przemiany, jakim ulegał organizm ludzki, postępując od prostej komórki początkowej aż do dzisiejszej doskonałości organizmu, a wówczas słowa Nitzsch'ego nie będą dla nas czczem twierdzeniem tylko, lecz koniecznym wnioskiem, wysnutym z dziejów rodowych człowieka.

Najważniejszym wnioskiem, do jakiego dochodzi Haeckel, jest twierdzenie, że człowiek pochodzi od szeregu wymarłych małp wschodnich; młodsi przodkowie tego szeregu należeli do grupy bezogonnych małp antropomorficznych, z pięcioma kręgami krzyżowymi, starsi do grupy ogoniastych małp pawianowatych, z trzema lub czterema kręgami krzyżowymi. Najważniej-

szą ze skamielin, świadczących o zwierzęcem pochodzeniu człowieka, jest *Pithecanthropus erectus*, czyli Małpolud jawański, znaleziony przez Eugeniusza Dubois w r. 1894 na Jawie. Zdania przyrodników, co do gatunku, do jakiego należy zaliczyć Małpoluda jawańskiego, były wówczas i dzisiaj jeszcze są sprzeczne.

Haeckel, uważając znalezienie tej formy za potwierdzenie dawniejszych swych poglądów, przychyla się do zdania tych, którzy uważają ją za typ pośredni pomiędzy małpą a człowiekiem. Byłoby to więc, zdaniem Haeckla, hypotetycznie ustanowione przez niego jeszcze w r. 1866 ogniwo pośrednie w łańcuchu najwyższych naczelnych *(Primates)*, któremu nadał wówczas nazwę *Pithecanthropus*.

Od chwili ukazania się pracy Haeckla w niemieckim języku, upłynęło lat cztery, przez ten czas nauka zrobiła postępy wielkie w każdym prawie kierunku. Przysporzono też wiele szczegółów, potwierdzających jego wnioski. Tłumaczenie więc dzieła Haeckla opatrzone zostało wstępem pióra prof. B. Dybowskiego, w których uwzględnione zostały najnowsze zdobycze naukowe, dotyczące dziejów rodowych człowieka.

Helena Grochowska.

*

Wagner Ryszard. *Walkirja.* Pierwszy dzień z trylogji: „Pierścień Nibelunga“. Napisał... Tłumaczył Teodor Mianowski. Lwów. Nakładem Księgarni Polskiej. Warszawa. E. Wende i Sp. 1902. 16-ka, str. 111 i XXVI.

Zazwyczaj libretta operowe bywały klejonkami lichych pomysłów, to też nie dziw, że i ich polskie przekłady musiały być nędzne z natury samej, boć przecież żaden szanujący się tłumacz nie weźmie się do pracy nad lichotą. Tłumaczyło się tedy jakbądź, ot, na urząd, jak pospolity towar tandeciarski. — Przekład „Walkirji“ wagnerowskiej odbiega daleko od wyżej nakreślonej charakterystyki. Bo jestto wprawdzie zwyczajne libretto operowe, ale jest też równocześnie samo dla siebie dziełem prawdziwego natchnienia, arcydziełem sztuki. Należało więc inaczej postępować przy tłumaczeniu takiego utworu, inaczej całkiem, niż przy przekładzie zwyczajnego libretta. Wszelkich pochwał godny jest tłumacz „Walkirji“, który już w przekładzie „Latającego Holendra“ okazał wielkie zdolności. Bo język, jakiego użył w „Walkirji“, jest przepyszny, doskonale dostosowany do powagi akcji, zgodność z oryginałem zadziwiająca. Dla przykładu przytoczymy ten fakt, że nawet tam, gdzie Wagner posługuje się aliteracjami, p. Mianowski ich się nie uląkł, lecz przeciwnie zdołał udatnie je oddać. Śmiało można przypuszczać i rokować nadzieję, że jeśli p. Mianowski tak dalej, jak dotąd, będzie postępował w doskonaleniu się, stanie kiedyś w rzędzie najwytworniejszych naszych tłumaczy. Część muzyczna została pokrótce streszczona i objaśniona przez Dra N. Hermelina.

St. Zdz.

PISMA. *Lud,* organ Towarzystwa ludoznawczego we Lwowie. Zeszyt 3.

Nieustanny rozwój tego kwartalnika widoczny jest aż nadto, zarówno w obfitości i różnorodności treści, jak niemniej doborze prac i materjałów. Zaczyna się omawiany zeszyt piękną pracą p. J. Mazura: „O miłości u ludu w życiu i pieśni“, w której autor, na podstawie materjału, zebranego w jednej tylko wiosce, zdołał uwydatnić wszystkie najważniejsze rysy, charakteryzujące uczucia miłosne chłopa polskiego. Piosenek przytoczono tutaj 90. Z kolei przystępujemy do dłuższej rozprawy autora „Ludu nadrabskiego“, p. J. Świętka, p. t.: „Z nad Wisłoka“. W pomieszczonej w tym zeszycie części pracy opisane zostało wesele ludowe we wsi Białobrzegach w powiecie łańcuckim, dalej garść wierzeń i legend ludowych z tejże okolicy. Znany a bardzo płodny etnograf, p. S. Udziela, opisuje zwyczaje prawne ludu na Podkarpaciu w XVIII wieku, na podstawie dokumentów, a mianowicie: „Dożywocie w Jazowsku w powiecie nowo-sądeckim“. Nareszcie doczekaliśmy się w tym zeszycie dokończenia cennej monografji ś. p. Dra Maksymiljana Gumplowicza p. n.: „Polacy na Węgrzech“. W krótkim rozdziale ostatnim daje autor pogląd historyczny na okręg podoliniecki na Spiżu. — „Kilka szczegółów ludoznawczych z powiatu bobreckiego“, zebranych przez p. Br. Gustowicza, tyczy się przeważnie świata nadprzyrodzonego. Mamy więc tutaj podania: o zatopionym dzwonie, skarbach zaklętych, smoku, czarownicach, upiorach, czarodziejskich źródłach i t. p. — Z kolei mamy obszerny, bo 40 stron obejmujący, „Zbiór podań, opowieści i baśni kaszubskich“, zebranych przez p. Grzegorza Smólskiego. Niepowetowana to szkoda, że nie zostały one zapisane w gwarze kaszubskiej. Byłby to więc zarazem cenny materjał dla lingwistów, zwłaszcza wobec niezałatwionej dotąd sprawy „języka“ kaszubskiego. — Zeszyt dopełnia 9 recenzji, z pomiędzy których na szczególniejszą wzmiankę zasługuje recenzja, napisana z wielkim nakładem pracy i znajomością rzeczy — Juszkiewicza: „Melodji ludu litewskiego“. Zbiór ten został oceniony bardzo surowo przez p. H. Windakiewiczową, argumenty zaś, jakie przytacza, wykazując wady i niedostatki części muzycznej, są bardzo poważne. — Nakoniec napotykamy dział p. n.: „Sprawy Towarzystwa“. Zaznaczamy z niego tylko założenie nowego oddziału w Podgórzu i zakupno „Historji etnografji polskiej“ p. St. Zdziarskiego, która wyjdzie nakładem Towarzystwa ludoznawczego.

w. i.

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego 8